

KS. ZYGMUNT ZIELIŃSKI

### Z NOTATNIKIEM PO LWOWIE I OKOLICY

Tekst powstał na kanwie kilkudniowej podróży po tzw. Wschodniej Galicji czy według dzisiejszego oficjalnego nazewnictwa – Ukrainie Zachodniej. Głównym celem wędrowki był Lwów, toteż jemu poświęcono najwięcej miejsca. Siłą rzeczy szukano dawnych polskich śladów. Najwięcej ich znajduje się w kościołach; są też resztki rezydencji ziemiańskich czy magnackich, przeważnie w ruinie; jest architektura miejska, w której odkrywa się wpływy tradycji przyniesionych przez mieszczan polskich, żydowskich, ormiańskich. Na wsi i w małych miasteczkach ostał się najbardziej tam zadomowiony wystrój ruski czy – jak dziś wypada powiedzieć – ukraiński. Te specyfikacje, które zwiedzający i następnie piszący pragnie wyróżnić, są nieco sztuczne, bowiem kalejdoskop tradycji był tu bardzo zróżnicowany i historycznie zakorzeniony. Jedyne, co naprawdę się wyróżniało, to siedliska szlachty polskiej i ukraińskiej, a może jeszcze cmentarze polskie i katolickie. Jedno i drugie istnieje w postaci szczątków. Nie zastanawiamy się tutaj nad sensownością czy bezsensownością kultuwowania tradycji, tych żywych i tych wygasłych lub istniejących w postaci na wpół martwych pomników. Pragniemy przekazać spojrzenie na kraj, trochę też na ludzi, spojrzenie jest zawsze osobiste, stąd też nie należy tego odczytać jako sąd, werdykt. Możliwość błędu jest w świadomości autora obecna.

We Lwowie dawno nie byłem. A w ogóle pierwszy raz w 1989 r., dokładnie w sobotę przed Palmową Niedzielą. Krótko, w przejeździe, ale chyba to był ten raz najbardziej tkwiący w pamięci. Wyobrażenia o mieście nie miałem, jak się okazało, żadnego. Jedyne legenda: Szczepcio i Tońcio, Wesoła Lwowska Fala. Pewnie przed wojną niejedno wpadało w dziecięce ucho. Podobnie jak Orleńta. Słowem – Lwów bardziej niż jakieś inne polskie miasto należał do tych wartości edukacyjnych, na których wychowywało się pokolenie Kolumbów, a i częściowo kilka młodszych roczników.

Z takim bagażem wyobraźni jechałem do Lwowa po raz pierwszy, dość dobrze zaopatrzony w gotówkę, zatem zaraz po wyjściu z katedry, która była pierwszym przystankiem, zaprosiłem znajomego, który mi towarzyszył i Lwów znał o niebo lepiej niż ja, na śniadanie do George'a. Ten adres to też reminiscencja do tego, co kiedyś, dawno wpadło w ucho, bo o tym hotelu, podobnie jak o Bazarze w Poznaniu, wypadało wiedzieć. Znajomy usiłował mnie odwieść od tego zamiaru, proponując skromne śniadanko u jakichś sióstr zakonnych, ale uparłem się, bo jakże to, być we Lwowie i nie odwiedzić George'a? Zatem poszliśmy. Sala restauracyjna podobna do tej w Bazarze, ale jakaś dziwna, pusta, szara, stoły bez obrusów, sądziłem, że to jakiś westybul, skąd wejdzie się do restauracji, ale nie, to była właśnie ona. Kelner zapytany o menu, zrobił wielkie oczy. Po dłuższym tłumaczeniu w czym rzecz zrozumiał, chyba zresztą tylko z tej racji, że znał świetnie język polski, choć się z tym początkowo nie zdradzał. Wyraźnie rozbawiony, oznajmił nam, że karty potraw nie trzeba, skoro są tylko: „jajcy, chleb i czaj”. A kawa? Nie ma. Otrzymaliśmy zatem to standardowe danie, a w drodze wyjątku dwie kawy, „jako goście z Polski”. Przyznać muszę, że kelner ten wzruszył mnie, zwłaszcza kiedy na zakończenie powiedział nam cicho, do ucha: jeśli przyjdziecie na obiad, to bądźcie około 13.00, dostaniecie coś lepszego. W przeciwnym razie – nie warto. Nie poszliśmy. W sumie zdarzenie z gatunku tych dziwnych, ale miłych. Nie brakowało tam takich, gdzie podejrzliwość, mania szpiegowania wszystkich i wszędzie zamykała ludziom usta, a często i oczy.

Kiedyś w połowie lat siedemdziesiątych w przejeździe przez Mińsk (Białoruś) chciałem się zatrzymać w hotelu. Miejsc brakowało, ale pragnęliśmy – nie byłem sam – choćby odświeżyć się, coś zjeść. Panie w recepcji były zimne jak lód. Niechętnym okiem spoglądały na intruzów, a odzywały się półgębkiem. Powiedziałem coś energiczniej, a wtedy starszy pan, chyba portier, odprowadził nas dyskretnie na bok i powiedział szeptem, czystą polszczyzną: „Proszę uważać, te panie mogą sprowadzić milicję, wszystkie pracują dla bezpieczeństwa”. Zapytany, czy jest Polakiem, zaprzeczył. Po prostu kiedyś żył „pod Polską”. I jak wtedy było? „Ach, panie, co tu mówić. A wy nie zatrzymujcie się tu długo”. Krótko, ale jasno, bez niedomówień.

Rozumieliśmy, co miał na myśli, ale w tym dziwnym świecie, w którym znalazłem się wtedy po raz pierwszy, świecie, mimo wszystko innym niż ten nasz demoludowski, spotkanie „człowieka radzieckiego”, który zarazem potrafił zdobyć się na odruch nieprzewidziany przez system, działało orzeźwiająco, obiecywało kontakty, których zbytnio nie należało oczekiwać.

To dygresja z innej epoki. Dziś embargo na słowa i myśli w tym świecie nie istnieje. Można swobodnie mówić o wielu sprawach; ludzie takich rozmów się nie boją. Nie lękają się też kontaktów z cudzoziemcami. W końcu nie istnieje „żelazna kurtyna”. Można, idąc ulicami miasta, dziwić się głośno, że to czy tamto jakieś inne, żeby nie powiedzieć wprost – niecodzienne, nawet z naszej polskiej perspektywy, nie tak znowu bardzo odległej od ich własnej. A co dopiero mówić o porównaniach z rozkapryszonym Zachodem? Tęsknota za nim zresztą wyziera z każdego zaułka, z ulic obwieszonych angielszczyzną reklam, ze sklepów pełnych zachodniej tandety, bo kogo stać na kupno dobrego towaru? Owszem, są tacy, ale ich obsługują nieliczne sklepy nie na kieszeń przeciętnego konsumenta. To przemieszanie dawnego, radzieckiego „ordnungu” z namiastką kapitalistycznego liberalizmu, wyrażającego się między innymi karkołomnymi promenadami jezdnią pełną pędzących samochodów, które w tym samym stopniu nie zważają na przechodniów, jak ci na czerwone światła i znaki drogowe; bo właśnie wszystko wolno. Trzeba się naoddychać wolnością, i to właśnie taką, bo z inną cóż byłoby robić, nawet gdyby się o nią upomnieć? Jak ją skonsumować? Tę wolność myśli i słowa, i czynu? Tę, która rodzi postęp, otwiera nowe horyzonty, wyzwala ze schematów, w których całe pokolenia topiły swą osobowość, przybierały postać „kazionnych” automatów, może nawet szczęśliwych, bo nieświadomość może dać odrobinę szczęścia, a przynajmniej jego namiastki. Wielokrotnie słyszałem o tym, jak to lepiej było „za komuny”. Tak mówią zresztą nie tylko we Lwowie czy Żytomierzu, lecz również w Lublinie, Warszawie i Poznaniu. Jest w tym jakaś część prawdy. Komuna, tak to odbierałem we Lwowie, na wiele rzeczy nie pozwalała i było po prostu łatwiej żyć. Był porządek – jak mi mówiono – ale porządek narzucony karzącą ręką władzy, a nie normalnie ukształtowaną świadomością ludzką.

Dużo by pisać o mentalności, dziedzictwie systemu radzieckiego. Ukraina bardziej niż jakakolwiek inna część dawnego ZSRR walczyła o niepodległość i ją osiągnęła. Wielu rozmówców we Lwowie zastrzegło się, że dotyczy to zachodniej Ukrainy, a niekoniecznie wschodniej, właściwie od 1772 r., a nawet tu i ówdzie wcześniej przywykłej do rosyjskiego panowania. Stąd mniejsze tam ciągoty do „samostijności”. Ale nawet biorąc to wszystko pod uwagę, trudno mimo wszystko zrozumieć, dlaczego w niepodległej Ukrainie wiadomości w telewizji są po rosyjsku, podobnie jak wiele innych programów, dlaczego słyszy się niemal wyłącznie piosenki rosyjskie, a język rosyjski właściwie dominuje wszędzie, nie wyłączając wielu instytucji. Mówiono mi, że w Kijowie na ulicy ukraiński jest rzadkością. Trudno w to uwierzyć. Ale wiele wskazuje na to, że tak być może.

Byłem – jak się rzekło – po raz pierwszy we Lwowie i na Ukrainie w 1989 r. Następnie bardzo krótko i tylko we Lwowie w 1993 r. W kilku innych miejscowościach jeszcze kilka razy w późniejszym czasie. A wreszcie we Lwowie i okolicy po raz trzeci we wrześniu 2003 r. Nic dziwnego, że odczuwa się potrzebę porównania choćby tego, co się widziało 14 lat wcześniej i dziś. Trzeba by oczywiście uwzględnić wiele płaszczyzn. Na przykład gdy chodzi o zaopatrzenie, przepaść jest tak wielka, że nawet trudno stosować jakiegokolwiek miary porównawcze. Uderza jednak coś zgoła innego i tu zauważalne są nie tyle różnice, ile podobieństwa. Chodzi o infrastrukturę bytową, jeśli można to tak określić. O to, jak wygląda krajobraz, jak przedstawiają się ulice miast i wsi, domy, słowem – to wszystko, co wpada w oko nawet bardzo nieuważnego obserwatora. Trudno odnotować jakieś zdecydowane zmiany w kierunku struktur – ogólnie mówiąc – zachodnich, choć znowu tęsknota za nimi jest wielka, zwłaszcza u tych, którzy poznali tamto życie, a jest ich niemało. Po prostu znać niedoinwestowanie budynków, nawierzchni ulic, często pamiętających czasy przedwojenne, razi zaniedbanie zwłaszcza obiektów stylowych, zaliczanych do kategorii zabytków chronionych. Przyczyna jest prosta. Te budowle to często pozostałości z czasów „polskich panów”, Kościoła katolickiego obrządku łacińskiego. Nikomu nie zależy na uchronieniu ich od zagłady albo po prostu brak środków na konserwację czy odbudowę. Przepudny kompleks w Podhorcach – na jednej linii pałac, do niedawna szpital gruźliczy, podobno przeznaczony do restauracji i „niczyja” świątynia, usytuowane naprzeciwko siebie po obu stronach drogi. Resztki parku łączącego obie budowle, jakieś ruiny kolumn ze szczątkami figur świętych. Dewastacja przechodząca wszelkie wyobrażenia. A przecież te dobra kultury ktoś kiedyś z petyzmem pozostawił właśnie w tej krainie jako ślad jej umiłowania. Ruiny i celową destrukcję datującą się jeszcze z czasów sowieckich widać wszędzie. Niektóre miejsca jednak urastają do rangi symbolu. Tak jest w przypadku dwóch sanktuariów: Podkamienia i Poczajowa. To drugie to świętość prawosławnych, obszerny kompleks klasztorny i cerkiewny. Już z dala błyszczą złotem kopuły cerkwi. Trzeba przyznać, że miejsce zdumiewające bogactwem i wzorowym wręcz porządkiem. Ani śladu dewastacji, natomiast na każdym kroku znać troskliwą rękę gospodarza. Ze stoku przed główną cerkwią widać w oddali także na wzgórzu położony klasztor dominikański i kościół w Podkamieniu. Przestrzeń kilkunastu kilometrów w linii prostej dzieląca oba kompleksy kultowe, ongiś katolicki i ten obecny, prawosławny nie maćci niezwykłego widoku, bowiem wzrok biegnie ponad rozległą równiną. Jednak nie te autentyczne atrakcje krajobrazowe zasługują tu na wzmiankę. Należy koniecznie z kapiącego złotem Poczajowa pojechać do

straszącego ruiną Podkamienia. Może ta zdewastowana świątynia i klasztor, przypominające krajobraz wojenny, winny pozostać w tym stanie jako pomnik męczeństwa Polaków z okolicy, którzy tam ponieśli okrutną śmierć z rąk rezunów. Schronili się w obrębie świątyni, pomni na prastare prawo azylu. Ale tam i wtedy nie szanowano żadnego prawa, ni boskiego, ni ludzkiego. Dziś na zapleczu ruiny kościelnej przykucnęła kapliczka grekokatolicka, a w zrujnowanych budynkach poklasztornych mieści się przytułek czy szpital dla starców oraz osób psychicznie chorych. Im też można tylko współczuć. Opowiadano, że kościół w Podkamieniu został odrestaurowany w 1938 r. Dewastacji zatem nie dokonał czas, ale ręka ludzka. Ktoś powiedział, że Począjów dumnie spogląda na sponiewierany Podkamień, obecnie symbol pogwałconego Kościoła katolickiego. Niestety, taki właśnie triumfalizm cechuje wielką część dzisiejszego prawosławia, zwłaszcza na wschód od Bugu. Nachodzą myśli na temat ekumenizmu, od czego należałoby zacząć, czy może miast skomplikowanych rozważań teologicznych, nie podjąć wątku czysto ludzkiego, z którego nawet w środowiskach od Boga i religii dalekich, szuka się bliskości wynikającej po prostu z bycia człowiekiem? Może wtedy uniknie się w przyszłości śladów krwi niewinnych ofiar na ruinach sponiewieranych świątyń.

Te smutne akcenty nie przesłaniają jaśniejszych chwil. Jedną z nich to Olesko, zamek pełen pamiątek po Sobieskich, muzeum, w którym nie zaginie pamięć pana Woźnickiego, uparcie broniącego tej spuścizny, nieważne czyjej, po prostu dziedzictwa tej ziemi, na której wyrastał także polski ród królewski. I nie jeden. Zgoła inny, ale równie pocieszający widok: kościół w Żółtkwi, cał po calu wydobywany z ruiny przez pełnego poświęcenia proboszcza; już ukazujący swe bogactwo architektoniczne i z trudem odzyskiwany wystrój. Nie razi rozkopany rynek, gdzie trwają prace ziemne. Cieszy też fakt, że po dominikanach przejęli kościół grekokatolicy, przynajmniej ocalał, służy swemu przeznaczeniu.

Właściwie cieszy wiele. Przede wszystkim wierni otaczający w niedzielę świątynie, obojętnie jakich wyznań i obrządków, bowiem ważne jest to, że Bóg znowu zamieszkał wśród ludzi. Cieszą dość licznie wznoszone cerkwie grekokatolickie i trzeba wierzyć, że będzie w nich głoszona nauka o miłości i miłosierdziu, bo obie te cnoty są potrzebne światu, a tej ziemi w sposób szczególny. Cieszą młode twarze krzątających się wokół ołtarzy, to znak, że napływają nowi pracownicy do Winnicy Pańskiej. Może nowego wniosą ducha. Cieszą też przywracane służbie Bożej przybytki, z których usuwa się ślady profanacji. Cieszy wspaniała katedra ormiańska, dziś znowu w całej

swej krasie oddana małej społeczności Ormian, już wprawdzie niepolskich, ale w końcu nie w tym rzecz.

Lwów. Czy ten sam, co kiedyś, czy choć podobny? Kiedy pytałem mego sąsiada, lwowiaka z krwi i kości, dziś już nieżyjącego, czy pojechałby do Lwowa, a było to po roku 1990, odpowiedział: nie, nigdy, to już rozdział skończony. Mój Lwów był po prostu inny, a ja tęskniłem do takiego właśnie Lwowa. Jego już nie ma, po co jechać, dokąd? Miał rację, bo chyba by miasta nie poznał. Może co najwyżej najważniejsze miejsca starego miasta, to znaczy konkretnie historycznego Lwowa – katedrę, kościół Bernardynów, Dominikanów, cerkiew wołoską, kościół Jezuitów, ratusz, uniwersytet, rynek z Czarną kamienicą, operę. Co jeszcze? Pewnie jakieś zakątki bardziej własne, obrosłe wspomnieniami dziecka, studenta. Ale ten stary Lwów obsiadły nowe dzielnice, niemające żadnego spójnika z tym, co dawne. Typowe blokowiska szczerze rozsypane na wielkich przestrzeniach, inny świat i, oczywiście, inni ludzie, bo właściwie jest to miasto o ludności napływowej. Samo to już mówi o jego charakterze, o braku odniesienia do historii. To nowe musi jeszcze bardzo długo pracować, by wytworzyć piękno niepowtarzalne, nieudawane, spontaniczne i autentyczne, takie jak dawna sztuka i architektura, może różna od gustów współczesnych, ale nie do podrobienia, mająca swoją osobowość. Tej miasto to dziś nie ma albo jej nie widać. Tych kilkanaście kościołów jako tako utrzymanych, trzy katedry, każda z własną autentyczną historią, resztki tradycji polskiej, ledwo widocznej i pierwociny tej nowej, dopiero powstającej, czy do reszty ukraińskiej, to pytanie otwarte, bowiem wielkie i przytłaczające ją są wpływy rosyjskie. Są jednak rzeczy, których nie można sfałszować, nawet gdyby nie wiem jak się o to starać. To są cmentarze. Te zniwelowane, zasiane chwastem też coś mówią. Jest to mowa rozumiała tylko dla nielicznych. Te historyczne i walczące o przetrwanie są niewyczerpanym źródłem wiedzy o jednostkach i całej społeczności. Takim miejscem jest Cmentarz Łyczakowski, nie wiadomo dlaczego nazwany Muzeum Kultury Ukraińskiej, do którego wstęp kosztuje kilka hrywien. Wiele odwiedziłem cmentarzy od Arlington po Père Lachaise, ale nigdzie nie płaciłem wstępu. Pomyślałem: biorą, bo chyba wielkie są nakłady na konserwację, ale wystarczy wejść głębiej w alejki, by porzucić tę myśl. O ile mauzolea, stare nagrobki, a przede wszystkim zdobiące je dzieła sztuki stanowią faktycznie cenne zabytki odzwierciedlające nie tylko historię ludzi, ale i dzieje miasta, może nawet kraju, to ich stan bardzo często budzi obawę, że wkrótce ta historia stanie się niema. Kruszeje to i rozpada się. Mamy i my tam kawałek historii, nie licząc postaci z życia społecznego i politycznego, szereg wielkich twórców, jak Konopnicka, Zapolska, Goszczyński, Grottger, wielu

profesorów. Mają także Ukraińcy swoich wielkich, ale nie wszystkich na miarę Iwana Franki. Szpecą nagrobki w stylu socjalizmu z ludzką twarzą, bogate, ale bez gustu, niedopasowane do tego *Muzeum*, jeśli już tak dziwacznie ma się ten cmentarz nazywać. Oczywiście, nic nie może odebrać mu piękna, nawet zarośnięte ganki i zwały odpadów oraz śmieci czekających na wywózkę. Tylko na ile czasu tego piękna starczy i czy nie zaludni się niwelowanych grobów historycznych nowymi pokoleniami, które dopiero zaczną tworzyć historię własną i nową? A cechą historii jest właśnie jej niezniszczalność.

Osobna sprawa to Cmentarz Orłąt. Owszem, odnowione groby, porządek wzorowy, choć nie pilnują go już historyczne lwy. Jeden stoi przy drodze wjazdowej do miasta, skromnie na poboczu, mało widoczny, drugi gdzieś się zapodział. Pośrodku portal, którego nawet czołgi ongiś nie zdołały ruszyć – pozostały tylko ślady stalowych lin na wierzejach – ale ten portal nie spełnia zgoła dawnej swej roli, bo zlikwidowano główne wejście, pozostawiając furtkę od strony cmentarza głównego. Nie chodzi już o napisy. W końcu historię nauczono się odpowiednio retuszować. Co innego nasuwa się na myśl pod wpływem uważnego oglądu całości. Ten cmentarz jakby przykucnął w obawie, że znowu go spotka coś złego. Walka z cmentarzami to nie specjalność lwowska, znamy ją także z własnych doświadczeń, ale obecnie miejsce pochówku żołnierzy, obojętnie jakich armii, zyskuje sobie już powoli immunitet. I tak być powinno, nie można też taić celu, który tym zmarłym przyświecał, albo może tylko tym, którzy ich do walki wysłali? Wtedy tym bardziej. Na Cmentarzu Orłąt spotkany tam mężczyzna – Polak – gwałtownie zwrócił się do mnie z zapytaniem, czy uważam, że to było sensowne, że ci młodzi chłopcy zginęli, „czy nie lepiej było usiąść przy piwie i podzielić miasto”? Być może, ale na to wtedy nikt nie wpadł, a interpretacja historii w takim stylu to takie samo szaleństwo, jak każda wojna. Nie ma się zatem o co spierać. Okazuje się jednak, że Cmentarz Orłąt potrafi nastrajać do różnych reakcji, czyż zatem warto teraz kwestionować słowa na monumencie? Czyż wolno równać tych, którzy padli w walce, z tymi, którzy mordowali bezbronych tylko dlatego, że znaleźli się oni – jak to powiedział pewien cieszący się autorytetem obecny mieszkaniec Lwowa – na ukraińskiej ziemi. A mówi się, że wysiedlenie jest zbrodnią. Owszem, ale zbrodnia zbrodni nierówna.

Jadąc tramwajem w górę ulicą Łyczakowską, można obserwować dziwne zjawisko. Zwrócił mi na to uwagę pewien mieszkaniec Lwowa. Otóż w miarę, jak tramwaj pnie się w górę ulicy, ponad fragmentem murów miejskich wyłania się wzgórze św. Jura wraz z katedrą greckokatolicką. Wrażenie jest silne

i trzeba powiedzieć, jest w tym wiele piękna, ale nie brak i wymowy podpowiadającej swoiste interpretacje. Jedną z nich to dopatrywanie się w zjawisku symbolu zwycięstwa Cerkwi greckokatolickiej w mieście, gdzie przed kilkudziesięciu laty górował jeszcze obrządek łańcowski, a wraz z nim mieszczaństwo polskie. Wieś była w przewadze greckokatolicka, miasta nie, zwłaszcza Lwów. Dziś, po upadku ateistycznego bolszewizmu można zjawisko to interpretować inaczej, mianowicie jako powrót dominacji obyczaju i kultury wyrosłej na glebie chrześcijaństwa. Jest to może nawet myśl najbardziej spontaniczna, jaka rodzi się u obserwatora owego wyłaniania się jak gdyby zza muru wzgórza świętojurskiego. Tak sobie wówczas pomyślałem.

Spotkania na ulicy, anonimowe, w przelocie, przy sąsiednim stoliku kawiarenki na placu czy trotuarze, spojrzenia ludzi reagujących na polską mowę, życzliwe, niekiedy pytające, nieraz dopowiadające jakieś słowo, dorzucające informację. Dobre to i wiele obiecujące. Może przełamie się zła passa, trwająca nazbyt długo, zbyt dużym rachunkiem krwi opłacona, deformująca oceny, myślenie, perspektywy. Dobrze się czułem na ulicach Lwowa i nagle tytuł w gazecie, nie jakimś brukowcu, poważnej i miłej zarazem: „Oddajcie nam Matkę Boską” (coś w tym rodzaju). Jaką? Po prostu Częstochowską, bo obraz był jakoby zrabowany w Belzje. Owszem, brano łupy, a przedmioty cenne, w tym kultowe przede wszystkim. To był XV w. Napoleon o wiele więcej wywiózł z Egiptu, a wystarczy odwiedzić choćby tylko British Museum, by się przekonać, co i gdzie brano. Dziś to są skarby ogólnoświatowej kultury. O rewindykacjach się nie mówi, bo niekiedy oznaczałyby one zagładę tych dóbr. To, że drukuje się tak bezsensowny, zakrawający wręcz na kpinę artykuł, ma jednak zgoła inny cel. Wiadomo, jak łatwo wzniecić animozje, czerpiąc z arsenału wartości i przekonań religijnych. Szkoda, że wśród elity intelektualnej tylu jest ludzi, którzy nie chcą zrozumieć, że to ta Ulica ma rację, a nie oni, bowiem z siewu nienawiści musi wyrosnąć tylko chwast. Oby tylko nie w młodej duszy. Jestem przekonany, że artykuł w tej samej gazecie młodej licealistki zatytułowany: „Oni nic się nie zmienili” [scilicet: Polacy] pisała ręka, której właściciel wie, jakimi byli przedtem. A młoda dziewczyna oskarża rówieśników z Krakowa, że nie odwzajemnili się grupie ukraińskiej młodzieży ich rewizytującej dyskotekę, którą sami byli uraczeni we Lwowie. Tak, jak gdyby w Krakowie nie było nic innego do roboty, jak zadziwiać dyskotekę. Nie dziwiłbym się, gdyby taki argument w walce narodowościowej powstał w głowie licealistki. Od czego jednak redakcja? A może właśnie od tego, by sączyć jad w młode, zapalne głowy? Szkoda i dobrze zarazem, że szcędzimy sobie tego u siebie.



Wszystko to rzeczy niby mało ważne, incydenty, ale odpowiednio wykorzystane mogą być groźne. Po co i komu to potrzebne? Wydaje się, że raczej potrzebne jest konsekwentne zagrzebywanie złych doświadczeń; one były, ale przyszłości na nich nie zbudujesz.

Wrażenie z takiej podróży, jak tu relacjonowana, nie można podsumowywać. Grozi to tworzeniem sztucznych schematów. Nic się w ich nie mieści, bo życie pęcznieje coraz to nowymi odroślami. Dziś oglądane, jawi się jutro inaczej. Nie miałyby sensu pokrywanie tanim lakierem tego, co wymaga rzetelnej odnowy. Ale jeszcze bardziej niestosowne byłoby niedostrzeżenie piękna pod nadwątłym tynkiem czy polichromią, bo to tak jak pisanie notatek z podróży w czasie jazdy wyboistym brukiem. Takowych we Lwowie nie brak, ale nie one są biurkiem reporterskim. Broń Boże, to co tu napisane nie jest reportażem. Fachowiec uczyniłby to inaczej, lepiej. Ma to być obraz uchwycony bardzo amatorską kamerą. Ale czy właśnie ona nie wydobywa bez retuszu światła i cieni, piękna i szpetoty? Na koniec może jeszcze jedno, nie ze Lwowa. Kiedy byłem w Kaplicy Sykstyńskiej jeszcze przed oczyszczeniem zdobiących ją malowideł, zauważyłem, że na widokówkach były one o wiele piękniejsze niż w naturze. Mimo to jednak nie widokówka oddawała prawdę. Podobnie z rzuconymi tu na papier wrażeniami. Tylko rzeczywistość może je naprawdę zweryfikować. Rzecz w tym, że nie potrafimy widzieć jej inaczej, jak tylko subiektywnie.